

MICHAŁ CERWANTES.

Jego życie i pisma, podług studyów p. Emila Chasles, profesora literatur zagranicznych w Sorbonie.

PRZEZ

S. z Ż. D...

(Ciąg dalszy).

II.

JASSYR.

W miesiącu sierpniu 1575 r. Cerwantes odpłynął na galarze *Słonie*, z bratem Rodrygiem i innymi towarzyszami broni. Byli właśnie na morzu, kiedy napadła na nich eskadra galliot tureckich, i wkoło okrążyła galarę. Trzy gallioty uderzyły silnie na statek; jedną z nich dowodził srogi renegat Dali-Mami zwany kulawym. Był to Grek nadzwyczaj zuchwały na morzu; Hiszpanie bronili się napróżno; Cerwantes został jeńcem Dali-Mamiego.

Poznał już poeta krwawe zapasy chrześcijaństwa z islamizmem; teraz miał poznać Algier, ową kolebkę korsarzy, zbiegowisko wszelkich plemion, ostoję różnorodnych odrzutków społeczeństwa. Cokolwiek konająca Grecya odtrąciła z łona, Włochy miały najburzliwszego, wszystko to jakby nieczyste szumowiny spływało na wybrzeża algierskie.

Miasto Algier postawione w pośród starego świata na rozdrożu pomiędzy Wschodem a Zachodem, między półksiężycem a krzyżem, było istną jaskinią rozbójników w obec cywilizacyi. Europa słuchała zdumiona cudownych powieści

o sławnych korsarzach tego czasu: Uszallim, Barborossie i Dragucie, którzy porywali dziewczęta na brzegach hiszpańskich i włoskich. Dziwne te powieści, zajmowały wyobraźnię ludową.

Musimy iść do Algieru w ślad za Cerwantesem, i tam zatrzymać się chwilę, jeżeli chcemy wnikać głęboko w myśl utworów poety, z których większa część zrodziła się pod ówczesnym natchnieniem.

Skoro Cerwantes postawił stopę na ziemi Algierskiej, liczne, nieznane dotąd plemiona uderzyły go w oczy, niesłyszane dotąd narzecza potrafiły mu ucho; sądził z razu, że to nowa jakaś wieża Babel. Przed nim jak w zaklętym kalejdoskopie, przesuwały się dziwne postacie o jakich nawet nie marzył: tu Arab milczący i ujarzmiony, tam Żyd osiadły chwilowo na cudzej ziemi, zawsze sam w tradycyjnym odosobnieniu; tu pyszny turecki urzędnik, tam chytry i zręczny renegat grecki; obok nich Spahizy, janczary, starzy alkadowie i okrutni agi; Oldaxy z rusznicą w rękę, w kapeluszu z piórem spadającym na ramię, Solaski z ogromnym rogiem złotym, w bogatym pióro-puszu. W pośród tych krajowców i zdobywców niewiernych, snują się roje chrześcian: jedni z nich jeńcy zamienieni w majtków, ogrodników i mularzy, drudzy wolni opatrzeni w listy żelazne, sprzedają w Algierze płody całej Europy. Są tu i kupcy ze wszystkich krajów: Anglicy sprzedają żelazo, ołów, proch i cynę; Hiszpanie dostarczają drogich pereł i złotolitych bławatów, pachnideł, soli i wina, a szczególnie realów złotych przeznaczonych na przetopienie; Marsylijczyki dowożą stal, siarkę, saletrę i tysiączne drobnostki; Sycylijczycy aksamit i adamaszek; Wenecyanie bogate zwierciadła i rzeźbione szkatuły.

Wszystkie te przedmioty wraz z płodami Wschodu, nęca oczy po wielkich bazarach. Cerwantes zdumiony pogląda na te dziwy i zalewa się łzami, wspominając że niegdyś na tych brzegach powiewała chorągiew kastylska, że Ferdynand katolicki panował nad północną Afryką, że Karol V przedsiębrał tu groźne acz bezskuteczne wyprawy.

Organizacya Algieru świadczy w oczach poety, że obmyślono tu wszelkie środki, aby nadal uchronić się jarzma hiszpańskiego. Rabadan rządzi w Algierze; Turcy ujarzмили

Maurów; jeńcy chrześcijańscy pracują w krwawym pocie czoła; karawany lądowe dostarczają łupów z głębi Afryki; wyprawy morskie ściągają niesłychane bogactwa skradzione Europie.

Cerwantes naoczny świadek tych łupieztw przygląda im się bacznie okiem, a następnie kreśli ich obraz. Oto w bramy Algieru wchodzi zbrojny zastęp złożony z pięciuset konnych jeźdźców, z chorągwią na czele. Jest to tak zwana *Malaha*, wraca z haraczem wyciśniętym przemocą na nieszczęśliwych krajowcach; wiezie z sobą tłum niewolników, muły obciążone zbożem, miodem, figami i daktylami; gromady kobiet i dzieci chłostą zmuszone do pochodu. W mieście wielka panuje radość, odgłos strzałów rozlega się o mury, podczas gdy oddział stawa szeregiem na targowisku, i ogłasza łupy wystawione na sprzedaż.

Tymczasem wrzawa powstaje w przeciwniej stronie miasta: korsarskie statki przybijają do brzegu. Słudzy okrętowi naprzód wnoszą na ląd wiosła, aby niewolnicy korzystając z chwili zamętu, nie pochwycili za nie rozpaczliwie. Potem niosą ogromne paki z towarami, w końcu wyprowadzają niewolników, których dzielą na dwie kategorie, na bogatą szlachtę i lud ubogi. Pierwsi przedstawiają wartość pieniężną, obiecując znaczny okup, drudzy przedstawiają pracę.

Smutna komedia odbywa się na targowisku algierskiem. Właściciel przy sprzedaży podnosi znaczenie swego jeńcy, aby więcej dostać za niego, jeniec tymczasem poniża się sam jak może, aby zmniejszyć cyfrę okupu; zarzeka się że ubogi, że służył jak prosty szeregowiec. Turek zaś szafuje hojnie zaszczytami; żołnierza zmienia w generała, księdza w arcy-biskupa.

Nieszczęściem dla Cerwantesa znaleziono przy nim listy polecające don Juana i księcia Sezy. Mimo protestacyi żołnierz z pod Lepantu stał się w oczach Turków wielkim panem. Miał on sposobność przypatrzeć się owęj tureckiej komedii, która zaczynała się zwykle od pokłonów, a częstokroć kończyła krwawo. Turcy tak nagle przechodzili od pochlebstw do srogich pogroźek, że niejednen przerażony chrześcijanin, wyrzekał się wiary praojców, widząc w tém jedyny środek zbawienia. Na pierwsze słowo spadały mu z rąk pęta. Handlarze ciała ludzkiego, gotowi byli zawsze

poświęcić korzyść pieniężną, byleby zyskać nową duszę dla islamu. Na owém targowisku, gdzie Azya frymarczyła plemieniem europejskiem, walka moralna panowała nad chciwością kupiecką. Razu jednego chrześcianin popełnił straszną zbrodnię: zamordował janczara. Zaprowadzono go na stos; wyrzekł się wiary i to go ocaliło.

Gdy chrześcianin został muzułmanem, otaczano go czcią niezwykłą. Obrząd wyzwolenia i obrzezania, odbywał się naprzód uroczyście. Potém nowy renegat otrzymywał kartę bezpieczeństwa, pieniądze, niewolników, szaty, klejnoty, i świece zielone. Bogaty Turek przyjmował go za syna, i czynił go swoim spadkobiercą. Jeśli wolny żołnierz hiszpański i Oranu, lub właściciel statku włoskiego chciał naturalizować się na Algierczyka, oblekano go w Guselskie szaty, wsadzono na koń, podawano strzałę w rękę; pięćdziesięciu janczarów otaczało go pieszo prowadząc konia i przygrywając na trąbkach; król własnym kosztem wyprawiał ucztę i mieścił go w korpusie janczarskim. Tak to słudzy Mahometa jednali dusze ludzkie prorokowi.

Chrześcianie ze swój strony bronili się potężnie na owój ziemi niegościnnój. Utworzyła się religijna korporacya ojców Trynitarzy. Ci przyjęli za obowiązek wykupywać jeńców z niewoli, rozdawać jałmużny, a obok tego wspierać słabych, oświecać lud, chronić od pokus nieszcześliwe kobiety i dziatki.

Cerwantes pogląda łzawém okiem na tę zaciętą walkę, rozumiejąc całą jej doniosłość. Widzi z oburzeniem wzrost Islamu, który posiędzie niebawem 100,000,000 dusz na wszystkich krańcach świata, i ustali na morzu hiszpańskiem niezwykcioną potęgę; podejmuje wtedy myśl, która nie opuści go do końca życia, postanawia rozbudzić z uspienia serca współziomków, i stawić im przed oczy groźny obraz rosnącej potęgi nieprzyjaciela. Rozpoczyna krucyatę swoją w Algierze, sam niezdolny działać przemocą, działać będzie przykładem i słowem. Nie dość że wstrzymuje słabych od zaparcia się wiary, ale wyszukuje gorliwie nieszczęśliwych, karmi ich, odziewa i ukrzepia na duchu, dzieli się z nimi ostatnim kęsem chleba, drobne dziatki oświeca w prawdzie Bożej.

Z sercem zakrwawioném boleścią, poglądał on na okrucieństwa Turków. Jakoż słowo ludzkie wypowiedzieć nie zdoła, jak srogie męki cierpieli chrześcijanie na galerach. Chłostano ich do krwi, okładano kijami, morzono głodem i nieludzko zapędzano do wiosł; w razie najmniejszego oporu, nielitościwi Turcy wyłupiali im oczy z głowy, obcinali uszy i nosy, i napół umarłych strącali w otchłań morską. Dowódzca ich Arnauta Mami przechodził wszystkich barbarzyństwem. Inni korsarze naśladowali jego przykład.

Cerwantes przemyślał jakimby sposobem wydobyć się z krwawych jego szponów, i z niezmordowaną wytrwałością dążył do zamierzonego celu. Porozumiał się zatem z kilku dzielnymi Kastyllijczykami, a mianowicie z Franceskim Menenes i Beltranem de Salto. Byli to mężowie niezłomnej woli i potężnego charakteru, godni następcy kampeadora Cyda. Za przybyciem do Algieru, Cerwantes szukał środków ucieczki; nie można było dostać łodzi, ztąd ucieczka morzem stała się niepodobną. Poeta namówiwszy sobie kilku towarzyszków, postanowił ująć de Oranu, gdzie konsystowała załoga hiszpańska; przekupiony Maur służył im za przewodnika. Trudne to było i niebezpieczne przedsięwzięcie. Skwar letni odbierał siły, głód narażał na śmierć niechybną. Mimo to Cerwantes puścił się w drogę, w towarzystwie kilku przyjaciół; ale po całodziennym pochodzie przewodnik opuścił ich, musieli też radzi nie radzi powrócić do więzienia.

Po takim dowodzie niezaprzeczonej odwagi, Cerwantes zjednał sobie niejaką przewagę nad umysłami współjeńców. Wszyscy garnęli się do niego. Utrzymywał on ciągle związki z najznakomitszymi z pomiędzy chrześcijan, którzy dzielili z nim niewolę. Znał wszystkich księży, zakonników, uczonych, rycerzy i wodzów; Ojcowie Trynitarze wzywali go do stołu swego. Wkrótce też zgromadził w koło siebie ludzi serca i stanął na ich czele. Wszyscy wspierali się wzajem, bądź w celu ucieczki, bądź też w celu wyjednania sobie okupu.

Jeden z nich Gabryel de Gastanieda pierwszy odebrał pieniądze, i okupiwszy się wrócił do Hiszpanii. Cerwantes posłał przez niego list do rodziców, uwiadamiając ich, że

został ujęty w niewolę wraz z bratem. Smutna to była wieść dla starego Rodryga Cerwantesa. Bez chwili wahania starzec zastawił część ziemi, zebrał sumki przeznaczone na posag dla córki i pieniądze wyprawił do Algieru. Otrzymawszy tę kwotę poeta pośpieszył do Dali-Mami, wręczył mu okup za brata i za siebie. Korsarz rozśmiał się szyderczo.

Więcej wart jesteś niż te lichy pieniądze, zawołał i ani chciał słyszeć o układach. Jakoż wojskowa sława Cerwantesa, znaczenie jakie miał u rodaków, szlachetna powierzchowność, a do tego owe znalezione przy nim listy, wszystko to podwajało cenę okupu. Dali-Mami nie otrzymawszy czego się spodziewał, kazał go okuć w pęta, aby go zmusić do prędszego wyszukania pieniędzy.

Cerwantes nie upadł na duchu, przeciwności wydobyły w nim nową siłę; przygotował niebawem nowe plany. Za otrzymane pieniądze postanowił nasamprzód oswobodzić brata. Uwolniony Rodryg miał przysłać na brzegi Algieru okręt z Majorki lub z Barcelony po brata i towarzyszków. Cerwantes z niezmordowaną wytrwałością sposobił wszystko do ucieczki. Na tych przygotowaniach upłynęło przeszło pół roku.

Naprzód zawiązał on stosunki z niewolnikami, którzy pracowali po ogrodach. Jeden z nich Jan rodem z Nawarry był ogrodnikiem u alkada Itassana o parę mil od Algieru. Cerwantes zjednał go sobie przyrzekając mu oswobodzenie, jeśli zechce działać po jego woli. Szło głównie o to, aby ukrył chrześcian, których Cerwantes miał wyprawiać do niego po jednym.

Jan wykuł w grocie głęboki dół w miesiącu styczniu, i ukrył w nim czterestu niewolników, którzy nocą tylko wychodzili z kryjówek. Żywności dostarczał im renegat Dorador zjednany także przez Cerwantesa. Zima zbiegła na niczém, okręt zapowiedziany nie przybywał. Statki Algierskie pokryły ogromną przestrzeń morza Śródziemnego. W końcu kwietnia przybyli Ojcowie Trynitarze z Aragonu, a na czele ich sławny Jorge Oliwar. Ścisła przyjaźń złączyła go z Cerwantesem. Dowiedziawszy się o zuchwałém przedsięwzięciu, brat Oliwar usiłował pohamować młodzieńczy zapał poety, i po ojcowsku napominał

go, aby zbyt szybkim pospiechem nie zgubił tak siebie jak i drugih.

Inne jeszcze powody wstrzymywały na czas jakiś wykonanie zamiaru. Algier w r. 1577 przeszedł pod rządy nowego króla czyli Beya, okrutnego Hassan-paszy. Był to poturczony Wenecyanin, wychowanek sławnego Draguta, od dziecinnych lat oswojony z korsarskim rzemiosłem. Rozpoczął on rządy od najsroższych zdzierstw i gwałtów, jakóż w krótkim czasie doprowadził ludność algierską do niesłychanej nędzy. Nastąpił głód, w ślad za nim morowa zaraza: trupy zawałyły ulice Algieru.

Wśród tego strasznego przesilenia, Cerwantes postanowił działać stanowczo. Nie było czem już żywić ukrytych towarzyszków, każdy dzień zwłoki narażał na niechybną zgubę. Nadszedł sierpień 1577 r. Cerwantes naradził się ostatecznie z bratem, oddał mu na okup wszystkie pieniądze przysłane z Hiszpanii, Rodryg zaś przyrzekł jak najspieszniej przysłać statek pod przewodnictwem zaufanego człowieka. Jakoż dotrzymał słowa. Okręt z Majorki ukazał się wkrótce na brzegach; Cerwantes gotów był w drogę. Dwudziestego września uciekł potajemnie z miasta i pośpieszył do groty. Zastał towarzyszków w opłakanym stanie: głodni, pogrążeni w ciemności i wilgoci, zaledwie że mogli utrzymać się na nogach. Cerwantes ukrzepił ich w duchu nadzieją ocalenia. W kilka dni potem o północy, mieli wsiąść na statek i popłynąć do rodzinnej ziemi. Ale ostatniego dnia Dorador nie przybył z żywnością o zwykłej porze; niebawem dał się słyszeć szczęk oręża i tętent kopyt końskich; wojsko napełniło ogród. Nikezemny renegat Dorador, odkrył zamiar ucieczki przed Hassanem. Turcy ujęli najprzód Nawarczyka i otoczyli grotę. Cerwantes ledwie miał czas wyrzec słów kilka do przerażonych towarzyszków.

— Jedyńy dla was ratunek, rzekł spiesźnie, abyście na mnie zwalili winę całą.

I nie czekając na odpowiedź przystąpił do dowódcy.

— Oświadczam, zawołał, jako żaden z tych chrześcian nie zawinił. Ja sam przygotowałem wszystko i zmusiłem ich do ucieczki.

Powtórzone Bejowi zeznanie Cerwantesa. Wpółród krzyków i przekleństw rozpasanej tłuszczy, powleczoneo zbiegów do Algieru. Hassan rozkazał wtrącić ich do więzienia. Cerwantes powołany przez Beja, badany był jak najściślej. Szło głównie Hassanowi o wpłatanie do spisku brata Oliwara, który posiadał znaczne summy na wykup jeńców. Sam Oliwar drżał o własne bezpieczeństwo.

— Bądźcie spokojni, rzekł Cerwantes do chrześcian w chwili gdy szedł do Beja — ocale ja was wszystkich.

Trwoga jednak panowała powszechna. Całe miasto było wzburzone. Hassan używał wszelkich sposobów, pochlebiał i groził naprzemiany. Cerwantes odpowiadał wciąż jedno, biorąc winę całą na siebie. Hassan wpadł w szalony gniew; Hiszpan stał niewzruszony jak skała. Wszyscy przekonani byli, że Bej skaże go na śmierć.

Nagle uspokoił się Hassan; kazał okuć winowajcę w łańcuchy i odprowadzić do więzienia. Zdało się, jakby moc duszy Cerwantesa oddziaływała mimo woli na niego. Wreszcie kupił go sam za 500 talarów, i trzymając go ciągle przy boku, igrał w okrutny sposób z łupem swoim. Jan Nawarczyk, który przechowywał zbiegów w grocie, został z rozkazu Beja powieszony.

Podczas trzechletnich prześladowań, moc duszy Cerwantesa wprowadza wszystkich w podziwienie. Swobodą umysłu, odwagą i zaufaniem w przyszłość, ożywia znękanych towarzyszków. Nie dość że sam potężny stawia opór, ukrzepia jeszcze drugich. Pragnienie osobistej wolności, milknie w obec wyższych celów, widoki polityczne całkiem pochłaniają myśl jego. Wypowiada śmiertelną walkę Turkom, tymczasem dla rozrywki wesoło pobrzękuje w łańcuchy.

Smutno upływały mu dnie i miesiące w więzieniu Hassana. Wyobraźmy sobie nagi i ponury czworobok, pełen ludzi w brudnych łachmanach, upadłych na duchu, wystawionych na chłostę i zniewagi. Wszyscy z utęsknieniem wyglądają okupu, o nim tylko myślą i mówią. Cerwantes czynny z natury, stokroć więcej cierpi od drugich: niekiedy na myśl że przyjdzie mu umrzeć zdala od rodziców i kraju, oczy jego zabiegają łzami. Ale dusza poety posiada nieprzebrany skarb życia; dźwiga się sam dzielnie z upadku, rozbudza towarzyszków, mówiąc im o poezyi, o historyi. Nie

zaleca on zapomnienia współjeńcom, lecz podnosi ich myśl i serce, karmiąc ich wspomnieniami dawniej sławy.

Razu jednego urządził w więzieniu teatr hiszpański. Było tam pomiędzy jeńcami do czterdziestu księży, którzy co niedziela odprawiali nabożeństwo, i rozdawali wiernym komunią świętą. Muzułmanie mimo plemienną nienawiść, nie zabraniali tego. Podczas Bożego Narodzenia, Cervantes przypominał sobie uroczyste obrzędy w własnym kraju, i popularne wiersze Ruedy. Umiał je napamięć. Stały mu żywo w myśli owe przedstawienia, w których występowali pastuszkowie w stajence, przy żłobku narodzonego Chrystusa. Pod jego kierunkiem jeńcy mieli odegrać dramatyczne misteryum Ruedy.

Sztuka rozpoczęła się; wystąpił jeden z pastuszków. Wtém wrzawa powstaje na ulicy. Otwierają się drzwi, wnoszą zalanego krwią niewolnika. Rozlega się srogi okrzyk: Janczary mordują chrześcian." Powód popłochu był ten, że zdało się Algierczykom jakoby spostrzegli na morzu liczne galery chrześcijańskie. Było to złudzenie: obłok oświecony blaskiem słońca przedstawił się trwożliwym w postaci groźnej floty. Przerażeni janczarowie poczęli mordować chrześcian; krew zboczyła ulice miasta; wiatr nagle rozwiął chmurę i z nią pierzchnęła bojaźń Muzułmanów. Wesołe widowisko w więzieniu przemieniło się w smutny dramat.

Zajęty na pozór błahemi przedmiotami, Cervantes snuł w głowie rozległe plany. Nie marzył on już o ucieczce, ale rozmyślał jakby doprowadzić do powstania wszystkich jeńców chrześcijańskich. Było ich w Algierze około 15,000. Szło głównie o to, żeby Filip II przedsięwziął w tymże czasie wyprawę na Algier, stał do szczytu owo gniazdo korsarzów, opanował brzeg afrykański, i założył tu kamień węgielny potęgi hiszpańskiej. Flota Filipa działając wspólnie z hiszpańską załogą w Oranie i z jeńcami, mogła być doprowadzić do skutku ów śmiały zamiar. Poeta żył wyłącznie tą myślą i gorliwie pracował nad jej urzeczywistnieniem.

Wypadki odpowiedziały zrazu owym zuchwałym pomysłem. Filip II zgromadził flotę na południowych brzegach Hiszpanii, rozbiegła się wieść, że niebawem uderzy na

brzegi afrykańskie. Było to w r. 1579, kiedy król portugalski Sebastyan, wdał się w domowe zatargi w Maroko. Filip IIgi korzystając z chwili sposobnej, umyślił opanować Portugalią, a dla pokrycia rzeczywistych swych planów, rad był z wieści głoszonych o zamorskiej wyprawie.

Ta wieść rzuciła postrach na całe wybrzeża Barbare-sków. Tak chrześcianie, jak i wyznawcy proroka o nią tylko mówili: pierwsi z nadzieją, drudzy z tajemną trwogą. Hassan zmusił jeńców do podźwignięcia murów Algieru. Cerwantes pozostał w więzach. „Dopóki mój kaleka Hiszpan będzie pod czujną strażą—mówił Bej—spokojny jestem o miasto, o port i o więźniów.” Mylił się Hassan: więzy nie powstrzymały działalności Cerwantesa. Wówczas to pisał on do Filipa II:

„Wielki i potężny królu! niech wybuchnie płomień ducha twego! Tu załoga liczna ale bezsilna. Szańce rozwalone w proch! Każdy trwożliwem okiem pogląda na morze, gotów uciec za pierwszym pojawieniem się floty. Dwa-dzieścia tysięcy chrześcian czeka w więzieniu, klucz od niego.... w ręku twem panie!

Cerwantes nie ufał Filipowi II-mu. Szukał on pośrednika, któryby przedstawił królowi jego zamiar. Wybrał na ten cel sekretarza królewskiego Mateo Vasquez, i napisał do niego długą odezwę wierszem. W tym poemacie przypomina zasługi swoje, maluje Islamizm słaby, a zarazem tryumfujący, odwołuje się wreszcie do cnót obywatelskich Vasqueza.

Odezwa poety nie przekonała króla; kierowany ciasnym poglądem politycznym, pragnął jedynie podboju Portugalii a nie myślał wcale o Algierze. Mylna wieść o wyprawie na afrykańskie brzegi, miała tylko te smutne następstwa, że wprawiła Algier w stan gorączkowy, i ściągnęła nowe prześladowanie na nieszczęśliwych chrześcian.

Namiętności ludu podniecone głodem, zarazą i zdzierstwami Beja, sprowadziły okropny bezrząd. Zbuntowani janczarowie wytaczali krew strumieniami. Jeńcy uważani za głównych wrogów, stali się celem powszechniej nieufności. Morzono ich głodem, przeciążano pracą nad siły, mordowano bez miłosierdzia. Wśród takiego odmetu, Hassan pano-wał grozą i przechodził wszystkich okrucieństwem.

„Głód i niedostatek męczył nas, mówi Cerwantes, ale boleśniejszym nad to wszystko był widok strasznych okrucieństw, jakich pan mój dopuszczał się względem chrześcian. Co dnia z rozkazu jego, wieszano jednych, drugich wbijano na pal, tym obcinano uszy lub nosy, tamtym wydzierano oczy z głowy, dla łada błahego powodu. Turcy mówili sami, że Bey czynił to z własnego upodobania, gdyż urodził się na kata rodu ludzkiego.”

W obec tych srogich prześladowań, Cerwantes nie upadał jednak na duchu. Widząc że wyprawa Filipa spełzła na niczem, począł znów przemyślać o ucieczce. Ilekroć prowadzono go na robotę okutego w łańcuchy, poglądał baczniem okiem na przystań; ale wszystkie łodzie były bez wiosła. Badał ludzi których miał sposobność widywać, Maurów, Żydów, renegatów, bez różnicy położenia i stanu. Znalazł nareszcie Maura i renegata, których zjednał dla siebie. Maur zobowiązał się wręczyć Martinowi z Korduby dowódcy Oranu list, w którym Cerwantes oznajmia, jako przybędzie do twierdzy, w towarzystwie 4-ch szlacheśnych Hiszpanów. Droga tak była daleka i tak pilnie strzeżona, że niepodobna było jęj przebyć, gdyby garnizon nie przyszedł w pomoc zbiegłym. Cerwantes żądał zatem, aby z twierdzy wyprawiono przeciw nim zbrojny oddział. Posłany Maur przybył szczęśliwie do granicy Oranu, tam ujęto go, znaleziono list, odprowadzono do Algieru, gdzie został whity na pal.

Cerwantes za napisanie listu skazany był na 2,000 pałek. Po raz 3ci otrzymał jednak przebaczenie. Renegat Meltrapillo Hiszpan rodem, wyjednał mu jak się zdaje łaskę okrutnego Hassana.

Od téj chwili poeta zbliżył się więcej jeszcze do renegatów. Był w Algierze między innemi Abd-el-Roman, rodem z Grenady. Cerwantes dostrzegłszy w sercu jego tęsknotę za krajem i za opuszczoną wiarą ojców, skłonił go do powrotu na łono kościoła. Postanowili obaj kupić statek i powrócić do Hiszpanii. Dwaj kupcy z Walencyi obecni w Algierze, dostarczyli pieniędzy. Abd-el-Roman kupił statek o 12tu ławach. Uszczęśliwiony Cerwantes postanowił zabrać z sobą 60ciu jeńców chrześciańskich.

Zdrada zniweczyła znów działania poety. Hassan uwiadomiony o zamiarze jeńca swego, dał zrozumieć, że wie o wszystkiem. Postrach padł na nieszczęśliwych chrześcian. Kupcy zadrżeli pewni, że Cerwantes badany wymieni ich nazwiska.

— Uciekaj—mówili do niego—zapłacimy drogę za ciebie, wsiadaj na pierwszy lepszy okręt.

Cerwantes odmówił. Upomniął kupców aby byli spokojni, zapewnił że raczej da się na kawałki rozsiekać, zanim wyrzeczy słowo.

Nie chcąc jednak wystawiać się na wściekłość Beya, uciekł z więzienia potajemnie do dawnego towarzysza Diego Castellano. Wówczas Hassan rozkazał onajmnić przez woźnego miastu, że ktokolwiek da przytułek Cerwantesowi, będzie karany śmiercią. Diego nie zważał na to, lecz Cerwantes nie chcąc narażać przyjaciela, sam się oddał w ręce sprawiedliwości.

Skrepowano go, założono powróż na szyję, i rozpoczęto badania, grożąc mu śmiercią jeśli nie wymieni współników. Cerwantes nie wymienił nikogo,

— Ja sam—rzekł—obmyśliłem plan ucieczki z czterma szlachetnemi Hiszpanami, którzy są dziś za obreębem Algieru. Inni mieli być zawiadomieni w chwili stanowczej.

Bądź że renegat Maltrapillo wystąpił znów w obronie Cerwantesa, bądź z innego powodu, Hassan przebaczył znów pocie. Nie ma wątpliwości, że wielki charakter wywiera tajemny wpływ na ludzi.

„Ten człowiek tak okrutny—pisał Cerwantes—zatrzymał się w obec żołnierza hiszpańskiego imieniem Saawedra, który przedsiębrał różne środki, aby odzyskać wolność. Nigdy Hassan nie uderzył go, nigdy nie kazał go chłostać, a nawet nie zelżył go słowem. Żołnierz ten jednak czynił takie rzeczy, za które wbijano drugich na pal.”

Dobiegało 5 lat ciężkiej niewoli, próżno Cerwantes wyglądał chwili oswobodzenia. Rodzina i przyjaciele daremnie usiłowali go wykupić. Ojciec umarł nakoniec, nie doczekawszy powrotu syna. Brat poety Rodryg z matką Eleonorą i siostrą Andream, zebrawszy cały zasób pieniężny na jaki zdobyć się mogli, wręczyli 300 talarów OO. Trynitarzom, którzy puścili się do Algieru na wiosnę roku 1580.

Hassan odrzucił pogardliwie drobną kwotę, nadzieja zdawała się straconą. Smutny to był rok dla poety. Ciężko bolał on nad tem, że Filip zaniechał stanowczo wyprawy afrykańskiej, a rozpoczął bratobójczą walkę w Portugalii. Patrzył też z trwogą na okręty przygotowane w porcie algierskim, które Hassan po trzechletnich rządach miał powrócić do Konstantynopola. Myśl że i on opuści z nim Algier, że oddali się od własnego kraju w dalekie strony świata, srodze trapiła jego serce. Już był na okręcie, kiedy jeden z braci Trynitarzy za zebrane od kupców pieniądze, wydarł go nakoniec z okrutnych rąk Hassana.

Skończyły się lata ciężkiej próby: Cerwantes wdzięczny serdecznie Ojcom, przyrzekł sobie że kiedyś odda chlubne świadectwo ich poświęceniu; jakoż dotrzymał słowa. Nigdy nie zebrał on razem ciekawych przygód doświadczonych w niewoli, ale cierpienia jakie przetrwał, obudziły w nim myśl wzniosłą i szlachetną. Poprzysiągł walczyć na śmierć z Islamizmem, i oświecić Hiszpanią, wskazując jej właściwe posłannictwo.

Powracał do rodzinnej ziemi, zdobywszy w długoletnich przygodach nieznaną mu cnotę i cierpliwość. *Aprendio a tener paciencia en las adversidades.*

III.

ISLAMIZM.

TEATR CERWANTESA.

Uczony krytyk Cerwantesa przerywa tu chronologiczny życiorys poety, a w jednym obrazie przedstawia walkę całego życia jego, od czasu powrotu z jassyru aż do śmierci, walkę objawiającą się w pracach literackich. Wyższy od wszystkich poprzednich krytyków hiszpańskiego poety, pan Chasles zwraca szczególną uwagę na te właśnie jego utwory, które krytyka poprzednia odrzucała z lekceważeniem, nie mogąc podnieść się do ich ocenienia. Z nich to upłócił on najpiękniejszy wieniec dla poety, wykazał bowiem, że owe części urzeczywistniały wotum, jakie uczynił Cerwantes w jas-

syryje tureckim. Nie mógł poeta uczczonym być godnie i właściwie. Imy za naszym uczonym przewodnikiem, poprowadzimy dalej czytelników naszych, a przerywając chwilowo życiorys, zatrzymamy się na tych właśnie utworach Cerwantesa, do których natchnienie i myśl zaczerpnął był w jassyrye.

W ciągu kilkoletniego pobytu na brzegach afrykańskich, Cerwantes poprzysiągł sobie, że skoro tylko odzyska wolność, i wróci do ojczyzny, podniesie głos do króla Filipa II przeciwko jassyrowi tureckiemu. Przyszła chwila że mógł dotrzymać przysięgi. Lecz jakimże sposobem człowiek ubogi, istny rozbitek, bez chleba i domu, kaleka, w lichy niewolniczej siermiedze, mógł znaleźć przystęp do tronu, podnieść głos na radzie królewskiej, i wpłynąć na zmianę polityki? Trudności nie zraziły Cerwantesa; geniusz znajdzie zawsze drogę prowadzącą do celu. Nie mogąc otrzymać posłuchania na dworze, stworzył sobie inną trybunę; tą trybuną był teatr.

Teatr hiszpański tak świetny w XVII wieku, zaledwie że istniał w r. 1584, kiedy Cerwantes umyślił użyć go za sprężynę do celów swoich. Wówczas najulubieńszem widowiskiem dla Madrytu była *Sarabanda*, wykonywana przez Andaluzjanki, wbrew zakazom kościoła. Dyrektor teatru zaciągał do trupy swojej kilku buffonów, kuglarza, skoczka na linie, i rój młodych dziewcząt z Sewilli; przybywał z niemi do Madrytu, zapowiadał pastorellę albo skoki, najmował podwórze starego domu, i budował teatr pod gołym niebem. Tłumy ludu zbiegły się na widowisko.

Cerwantes opanowawszy scenę, nie zważając na ówczesny smak widzów, porozganiał kuglarzów i tancerki, a w ich miejsce ukazał brańców algierskich, którzy z poważną postawą, surowym głosem domagali się dzielnej pomocy od narodu, w imię jego chwały i bezpieczeństwa. Ci ludzie przemawiali do Hiszpanów o Hiszpanii, jak niegdyś chóry tragedji greckiej, przemawiały do synów Milcyadesa o dawnej wolności Helenów. Cerwantes pisząc dramat: *Życie w Algierze* (*El trato de Argel*), wskazuje zapasy ucywilizowanego Zachodu ze Wschodem, a głosząc srogie pogroźki tureckie, wystawia złamanych i upokorzonych Hiszpanów. Śmiały to i szlachetny pomysł. Wprowadza on na scenę

don Juana Saavedrę, i przez usta jego wyzywa króla i naród na pole czynu. Tym Saavedrą jest sam poeta.

Wśród tłumu niewolników, przechodzi pomału Saavedro pogrążony w bolesnych myślach. Szlachciec w łachmanach, żołnierz, jeniec, nie myśli o własnej nędzy, lecz boleje nad znieważonym w sobie imieniem Hiszpana. Gdy patrzy na brańców o których zapomniała Europa, na renegatów którzy zuchwale występują z nią do zapasu, na dzieci nawrócone na Islamizm, rumieniec wstydu występuje mu na czoło, i łzy płyną mu wzdłuż lica. Stoi w głębokiém milczeniu, kiedy nagle przybiega przyjaciel jego Alwarez, i oznajmia ważną wiadomość: Filip II wylądowuje wkrótce na brzegi afrykańskie.

Alwarez. Porzuć skargi twoje Saavedro! a posłuchaj mnie raczej. Wielki Filip gotuje wojnę. Wieść to prawdziwa; téj nocy przypłynęła tu fregata z Beserty. Był na niej jeniec; on to ożywił umarłe me nadzieje. Nieszczęsny, porwany został płynąc z Malagi do Barcellony. Dumny korsarz Mami okuł go w pęta. Postawa jego prawdziwie rycerska i szlachetna.

Alwarez dodaje, że tłumy wodzów hiszpańskich i obcych garną się około Filipa w Badajos. Co król zamierza—nikt nie wie, nikt nie śmie wspomnieć nawet o tém. Wszyscy zgadzają się, że chrześcijaństwo jednoczy groźne siły.

Saavedra. Nieba! rozstąpcie się! Ześlijcie nam oswobodziciela, któryby położył kres téj srogiéj walce. Kto wie, może już stopy jego deptają po naszej ziemi.

Jeżeli śmierć nie sprzysięgła się na mnie, jeśli nie złożę kości moich na tych obcych wybrzeżach.

W dniu szczęśliwym, kiedy losy pozwolą mi stanąć w obecności Filipa:

I język mój oniemiały zrazu królewską obecnością rozwiąże się; ów język zuchwały, lecz niezdolny do pochlebstwa ani fałszu!

I powiem: potężny panie! Ty, którego moc trzyma pod jarzmem dzikie ludy!

Któremu czarni Indianie składają hołdy i złoto wydobyte z ziemi łona!

O! niechaj w twem sercu królewskiem, wstyd rozbudzi odwagę. Nędzna jaskinia rozbójników, śmie uragać Twojemu berku!

Ich plemie nieliczne, siła ich nie nie znaczy, półnadzy, źle uzbrojeni, nie mają zamków, ni murów obronnych, ani skały.

Każdy z nich pogląda ze drżeniem w stronę, zkąd przyjdą twe zastępy.

Od tego jassyru tak twardego, w którym jęczy piętnaście tysięcy chrześcian, Ty sam trzymasz klucze, o panie!

Wszyscy tu ze mną, padając na kolana, i składając ręce błagalnie, wśród łkania i boleści:

Wzywamy cię potężny królu, obróć na nas oczy miłościwe i spraw, niechaj dzieło poczęte przez ojca twego, tak mężnie i tak śmiało, dokonaniem będzie ręką Twoją.

Skoro ujrzą pochód Twych zastępów, postrach padnie na barbarzyńskie ludy, którym zapowiadasz rychłą zgubę.

Któżby wątpił, że królewskie Twe serce uczuje litość, widząc rozpacz tylu nieszczęśliwych.

Ale niestety! słowa moje okazują niedołężny umysł, skoro śmiem przemawiać do tak wysokiego majestatu!

Otóż wołają mnie do pracy... już idę... gotów umrzeć!"

Te wymowne słowa nakreślił był niegdyś Cerwantes w liście do sekretarza królewskiego Mateo Vasquez. Kiedy głos jego przebrzmiał bez skutku, w pięć lat potem poeta tworzy dramat *Trato de Argel*, i w usta jeńca kładzie też same wyrazy. Ale Filip nie chciał zrozumieć ich znaczenia, Cerwantes wtedy tworzy nowe sztuki, jak: *Więzienie Algieru*, *Dzielny Hiszpan*, *Wielka Sultanka*, *Bitwa Morska*, *Turczynka*, *Jeruzalem*, przenosząc w nich scenę z pod Lepantu do Ziemi Świętej. Każdy z tych utworów jest jakby nowym wyzwaniem; liczba ich nieprzeliczona; z niektórych same tylko pozostały tytuły. Natchnienie poety niewyczerpane w tym przedmiocie. Oprócz sztuk teatralnych, pisze nowelle i poemata.

Słowem, poeta wyraża myśl swoją na wszystkie tony. Radzi, błaga, oburza się i grozi naprzemian. Nie cofając nigdy kroku, powtarza bezustannie, że potrzeba przywrócić panowanie Hiszpanów na morzu Śródziemnym.

Polityka tymczasem w ciągu trzydziestu lat następnych, zwraca się w inną stronę. I przez trzydzieści lat Cerwantes prowadzi swoje apostołstwo, rozpoczęte na brzegach Afryki, a prowadzi je aż do śmierci. Na kilka lat oto przed skolem,

w poemacie: *Podróż na Parnas*, powstaje na Madryt, że w gazetach tylko zajmuje się Turkami, a dla drobnych sporów literackich przepomina wielkiej sprawy państwa; szydzi gorzko ze stołecznego grodu, gdzie więcej naliczyć poetów niż żołnierzy. „Wielki mistrz maltański—mówi Cerwantes—błaga Hiszpanią o pomoc, ona tymczasem wyprawia flotę rymopisów na Parnas do Apolla. Madryt rozprawia codziennie o Turku na przechadzce, podnosi go lub poniża, tocząc bezmyślne spory, istnieje jak gazeta wenecka. Bywaj mi zdrów Madrycie!”

W tych gorzkich słowach znać człowieka, który piastuje w sobie wielką myśl, karmi ją z miłością, i powtarza ją przy każdej sposobności, jako prawdę zasadniczą, wyższą nad zagadnienia sztuki. Gdy podobne uczucie ożywia ducha, nie wymagamy wtedy doskonałości stylu. Autor wyrzuca z mózgu palące improwizacye; przepomina sławy pisarskiej, w obec wielkiego celu jaki przedsięwziął. Tym celem jest oswobodzenie jeńców i odwrócenie biegu polityki: interes dramatyczny poświęcony tu sprawie narodowej.

Ze wszystkich dzieł Cerwantesa wymierzonych przeciwko islamizmowi, najważniejszym jest dramat p. t. „*Życie w Algierze*” (*El trato de Argel*). Nie jest to utwór sztuki, jest to raczej dzieło uczciwego człowieka. Dotąd sądzono ten dramat ze stanowiska literackiego, i okazał się niższym od zręcznych dramatów Lope de Vegi. Nie podobny on w rzeczy samej ani do francuzkich, ani do hiszpańskich utworów scenicznych. Treść jego bardzo prosta. Młodzi narzeczeni Aurelio i Sylwia, wpadają w ręce Algierczyków, którzy rozłączają gwałtem kochającą się parę. Znajdują się potem oboje w domu Turka nazwiskiem Jusuf, który ma żonę Zareę. Spotkanie to staje się dla nich zgubnym. Jusuf kocha Sylwią i powierza miłość swoją Aureliowi; Zara tymczasem kocha Aurelię. Pomysł sztuki bardzo pospolity, ale dla geniuszu Cerwantesa sytuacja osób była rzeczą podzielną; głównym jego celem jest moralna walka plemion, sprzeczność odmiennych praw religijnych, zestawienie obok siebie dwóch kobiet wschodniej i zachodniej. Postacie tu nie idealne, lecz pełne rzeczywistego życia; brak wprawdzie sztucznej intrygi; cały wątek usnuty z idei, namiętności i głębokich przekonań religijnych. Zapomnijmy o wymaga-

niach sztuki, a zważmy przedewszystkiem napaść islamizmu na dusze chrześcijańskie.

Piękna czarnooka Zara, strojna w perły i złoto, zbliża się do Aurelia szlachcica hiszpańskiego, którego los uczynił ję niewolnikiem; za nią idzie stara Fatyma, biegła w sztuce czarodziejskiej, wierna zabobonom i obyczajom Wschodu, a nienawistna chrześcianom: widząc je obie rzekłbyś że to fatalizm towarzyszący miłości.

ZARA. Aurelio!

AURELIO. Pani!

ZARA. Pani! o! gdybym była panią twoją, słuchałbyś prośby mojej, a nie uciekałbyś tak odemnie.

AURELIO. Skoro jestem twym niewolnikiem, wola twoja jest moją.

Tak się rozpoczyna rozmowa, wyzywająca ze strony Zary, grzeczna, lecz nieco pogardliwa ze strony Aurelia. Muzułmanka upokarza się wkrótce wbrew napomnieniom Fatymy.

AURELIO. Alboż nie widzisz że jestem chrześcianinem, że żyję w nędzy i poniżeniu.

ZARA. Miłość czyni wszystkich równymi: podaj mi rękę.

Stara Fatyma pogląda na to z oburzeniem. Przystoiż córce Mahometa, poniżać się tak przed Giaurem? Chce opuścić Zarę, lecz ją zatrzymuje.

ZARA. Fatymo! prawdę mówisz... nie przeczę... ale cóż czynić? miłość to płomień, a serce moje z wosku!

Na tę doktrynę fatalizmu, Fatyma niema co odpowiedzieć. Aurelio zasłania się honorem.

AURELIO. Mamże słuchać tych słów miłości, jeniec okuty w więzy?

ZARA. Nie lękaj się tych więzów!.. jest nas dwoje: możemy je rozkruszyć.

AURELIO. Zostaw mi je lepiej, nie chciałbym wpaść z jednej niedoli w drugą.

ZARA. O jakiej ty mówisz niedoli?

AURELIO. Kiedy ciało moje będzie oswobodzone, wpadnę w inne okowy boleśniejsze dla duszy mojej.

FATIMA. Alboż to chrześcianie mają duszę?

AURELIO. Tak jest, dusze wielkie i drogocenne, albowiem Bóg sam oddał się za nie w okup.

FATIMA. To fałsz!... Tak jest, wasze dusze jeśli je macie, znać wykute z diamentu, skoro miłość skruszyć ich nie może. Aurelio, zastanów się, posłuchaj mojej rady, porzuć daremny upór. Tyś niewolnik w okowach nędzny, półnagi, słaby, wystawiony na wszelkie niedole, na zniewagi i chłostę, na ciemne i wilgotne więzienie. Tymczasem powrócą ci wolność, przybiorą cię w kosztowne szaty; okowy spadną z rąk twoich. Zamiast nędznej strawy, otrzymasz wyborne kuskuzu, i biały chleb z pszenicy, i drobiu podostatkim, i wina francuzkiego ile zechcesz. I o cóż ci idzie? Nie lepiejże porzucić twardą pracę, a żyć przyjemnie w dostatkach i słodyczy? Korzystaj z losu, który sam wpada w ręce twoje. Nie udawaj napróżno niewiniątka... spojrzij oto na Zarę... czyż nie warta miłości twojej? Patrz na ten blask promieniający z jej oblicza, przed którym gaśnie słońce samo. Niczemże dla ciebie jej młodość pełna uroku, jej bogactwo, jej imię i sława? Szczęście kołacze się do drzwi twoich. O! piękna Zara moja! gdziekolwiek ona stąpi, tysiące ust radziby ucałować ślady wyciśnięte jej stopą.

Ideał ten nie pociąga Aurelia; odpowiada chłodno Fatimie:

— Byłoby to złem nawet wobec praw Mahometa: obrazasz go zaprawdę twemi słowy.

— Zostaw Mahometa, rzecze Zara, on nie jest już dziś Bogiem moim. Miłość pochłonęła i ujarzmiła moją duszę: ona tylko panuje nademną.

Ani obietnice Fatimy, ani jej groźby, ani piękność Zary, ani jej miłość, słowem nic nie zdoła poruszyć Aurelia. Obie kobiety odchodzą: wściekłość szarpie ich serca

Aurelio wstawszy sam, klęka pobożnie do modlitwy.

Yusuff ukazuje się ożywiony radością.

YUSUFF. Posłuchaj mnie Aurelio... Kupiłem niewolnicę, nieporównaną piękność! Kocham ją, lecz ona mną gardzi. Tyś chrześcianin tak jak ona. Jeśli skłonisz ją ku mnie, będziesz wolny.

AURELIO. Z jakiegoż narodu ta kobieta?

YUSUFF. Mówią że to Hiszpanka.

AURELIO. Imię jej?

YUSUFF. Sylwia.

AURELIO. Kobieta imienia tego była na statku naszym.

YUSUFF. To ona sama.

Sylwia jest narzeczoną Aurelia, położenie jego okropne. Zazdrość staje się dlań nową pokusą. Szlachetny Hiszpan pokrywa boleść, przyrzeka wszystko i opuszcza Yusuffa.

Sylwia ukazuje się na scenie. Yusuff mówi do niej z poszanowaniem.

YUSUFF. Sylwio! otrzyj z łez oczy twoje, pofolguj téj srogiéj boleści. Nie kupiłem cię na niewolnicę, pragnę raczéj abyś mi była panią. Sądzę że nieszczęście przygotuje ci los świetniejszy. Otrzyj więc te piękne oczy które czynią mnie twoim niewolnikiem, porywają duszę moję. Nie przysłaniaj cudnego oblicza ową białą zasłoną, która podobna do śniegu, pokrywa mi promienny błękit niebios.

— Powiedz mię do Zary twéj małżonki a pani mojęj, od rzeczy Sylwia.

Scena ta przypomina pojawienie się Andromaki niewolnicy Pyrrusa. Postać Sylwii zaledwie dostrzeżona w przełocie, godną jest charakteru Aurelia, który przedstawia surową powagę chrześcijańskiej Hiszpanii.

— Czy znasz Aurelia? zapyta Zara Sylwię.

— Tak jest, odrzecz Sylwia, młodzieniec to poważny, rodem Hiszpan.

Aurelio ciężkie przechodzi próby, przeciwko niemu sprzysięgają się wszystkie zaklęcia i zabobony Wschodu. Fatima powraca w postawie czarownicy, z prawą nogą bez obuwia, w sukni szerokiej bez opaski. Oczy jéj zwrócone ku morzu, ręka okręcona sznurem kamyków, wydobytych z gniazd orlich. Rzekłbyś że to czarownica Szekspirowska. Rozpoczyna zaklęcia: trzyma w ręku figurkę woskową wyobrażającą Aurelia, i przebija ją w samo serce.

Cerwantes wykarmiony w młodości tradycjami z czasów Danta, wyraża myśl swoją przez usta osób alegorycznych. Przywołuje furze z piekieł, te szepeczą złe rady Fatimie.

— Porzuć daremne czary, mówią: gardzi nimi ten kto się opiera na Chrystusie. Lepiej oto przyzwij w pomoc konieczność i okazyj.

Dwie boginie ukazują się, jakby w starożytném misteryum.

Aurelio wyczerpany z sił, półnagi, leży na ziemi. Z jednej strony nagli go *konieczność*, z drugiej strony *okazyja* uśmiecha się do niego; nie umie nawet odpowiedzieć im: niedołężnie tylko powtarza ich słowa.

OKAZYJA. Znam ja sposób; gdybyś tylko chciał wyjść z téj nędzy natychmiast, bez trudu, małym kosztem.

AURELIO. Tak, wyjść z téj nędzy, natychmiast, bez trudu małym kosztem.

OKAZYJA. Kochaj tylko panią twą Zareę, lub przynajmniej okazuj ku niej miłość.

AURELIO. Kochaj tylko, lub okazuj miłość... tak, pozorby wystarczył. Ach! jak udawać miłość temu kto nie kocha?

KONIECZNOŚĆ. Jeśli *konieczność* przynagla do tego.

AURELIO. Tak jest... *konieczność*!

OKAZYJA. A *okazyja* przedstawia się sama.

AURELIO (*jakby zbudzony ze snu*). Tak, *okazyja* przedstawia się...

Nie!... *Okazyja* nie ma mocy, odwrócić z drogi powinności krwi szlachetnego Hiszpana.

Pokusy działają coraz to najtęższyj. Czem honor? urojeniem. Czemużby Aurelio zdala oczu ludzkich, głuchym był na głos wolności i ślepym na wdzięki pięknej Zary? Ona sama przebiega scenę świetną i dziwnie uroczą.

Aurelio mimowoli idzie za nią, już napół zwyciężony, już gotów odprysnąć się wiary ojców; gdy wtém cofa się nagle i woła:

— Gdzie idziesz, Aurelio? precz odemnie myśl grzeszna, myśl nieczemna!... Jam chrześcijanin... umrę po chrześcijaństwie?..

Tak zwycięża moc duszy Aurelia; ale czyż pokuta odbije się o słabsze serce?

Cerwantes wprowadza na scenę młodego Hiszpana Juana, który przywdział odzież maurytańską i zaparkł się swęj wiary: przywołują go:

Juan!

— Ja zowie się Soliman, jeżeli będziecie mnie zaczepiać, poskarżę się panu.

I ztuczony pacholę grozi chrześcijanom, odtrąca brata swego Franceska, który go chce uściskać.

— Dobrze to, rzecz, być Maurem! Patrz na te piękne suknie jakie mi dano, mam inne bogatsze jeszcze tkane jedwabiem i złotem. Nic smaczniejszego nad kukusu i pilaw. Zostań muzułmanem, a powiesz to samo co i ja. Posłuchaj mojej rady,... odchodzę już, bo rozmowa z chrześcianinem plami duszę moją.

I odchodzi krokiem poważnym z zuchwałą i śmieszną postawą.

— Jestże boleśniejszy obraz na ziemi? woła za to jeniec Alwarez; poczem zwraca się do widzów, błaga ich aby myśleli o wykupie tylu nieszczęśliwych.

— Wykupujcie ich, woła. Oh! jak dobrze jałmużna użytą na wykup dziełek. W duszy ich wiara niezakorzeniona jeszcze dość głęboko. Bodajby serca chrześciańskie uczuły słodycz miłosierdzia, i nie poskapiły braciom pomocy. Wyciągnąć z Jassyru chrześcianina, zwłaszcza dziecię słabe na duchu, to czyn święty i prawdziwie zbawienny, bo zarazem ocala duszę i ciało. Wykupując brata, wyrwasz go pokusom, przyprowadzasz go z ziemi wygnania pod dach ojców, chronisz go od tysiącznych przygód, od rad nikczemnych i przewrotnych. O, wyrodne plemię Mahometa! jak łatwy odnosisz tryumf nad sercami prostaczków.

Do tego zaklęcia łączy się chórem okrzyk powszechny rozpaczy.

Cerwantes chciał stawić przed oczy widzów cały Algier: pragnął pokazać Hiszpanom nie tylko zgubne skutki ich zaniedbania, lecz również i okropne następstwa Inkwizycji; gwałty bowiem popełniane z jednej strony, wywoływały krwawy odwet. Była to wielka śmiałość dotykać wówczas tak drażliwego przedmiotu: Hiszpanie w XVI wieku przyklaskiwali okrucieństwu które Cerwantes potępiał. Ostróżnie tu poeta przystępuje do rzeczy.

Wbiega na scenę człowiek zadyszany, błądy od gwałtownego wzruszenia; patrzył na śmierć męczeńską księdza Miguela de Aranda i przedstawia ludowi straszny obraz.

— Widziałem go dziś, sługę Bożego! w ręku półnagięj tłuszczy... Nie konał on w pośród dwóch łotrów, ale w pośród tysiąca... Ów kapłan, ów mąż sprawiedliwy... siedł na śmierć, otoczony dziką zgrają, bezsilny, zgięty ku ziemi, lecz rad że umiera za wiarę. Tłuszcza urągała nieszczę-

śliwemu! jedni policzkowali go, drudzy targali siwą brodę starca. Skrępowano grubym powrozem owe ręce, które tylekroć razy podnosiły hostyą! Wkoło szyi okręcono mu drugi powróż, za który Maury wlekli go na przemiany; wzrok jego napróżno szukał w tłumie jednego przyjaznego oblicza, widział tylko zbójców i katów. Wściekłość ich tak była srogą, że ktoby go nie ugodził obraziłby prawa Mahometa. Lud przyniósł nakoniec wielką ilość drew, ułożył ogromny stos otwarty w pośrodku; opasał nim nieszczęśliwą ofiarę; zapalono stos pomału aby przedłużyć męki.

Jeniec Sebastyan opowiada szczegółowo jak spłonęły najprzód suknie, potem ciało Miguela Aranda. Alwarcz który słucha téj strasznój opowieści, w te słowa odzywa się do widzów:

— Małoż to, zaprawdę, że jesteśmy jeńcami, mamyż jeszcze ponosić takie męki? Niech Walencya inne kary wymierza renegatom: tam palą martwe ciała, tu pieką nas na wolnym ogniu.

Alwarcz ucieka nakoniec. Zmienia się scena, teatr przedstawia drogę do Oranu, samotną i stromą; człowiek nie zdoła jój przebyć bez pomocy bliźnich, lub też cudownej opieki Bożej.

Idzie Alwarcz w odzieży podartéj na szmaty, w dziurawém obuwiu, z ciałem pokrwawioném o ciernie. Zjadł już ostatnią okruszynę chleba, nigdzie nie znaleźć mu kropli wody. Nowy pomrok zawiera ślad ścieżki przed jego wzrokiem, w oddaleniu słyhać wycie wilków i ryk niedzwiedzi. Trapiiony głodem i pragnieniem już nie może iść kroku dalej, i bezsilny upada na ziemię.

Cerwantes wprowadza tu legendę, która dopełnia mistyczną strony dramatu, i ma ścisły związek z wiarą panującą w Kastylii. Upadając Alwarcz poszepnął modlitwę do Najświętszej Maryi Panny. Ta modlitwa ocala go w niebezpieczeństwie. W około niego przebiegają Maury, gonią innego zbiega; Alwarcz patrzy na nich, cudowną siłą ukryty przed ich wzrokiem. Ukazuje się straszny lew, Alwarcz idzie za nim śmiało i tym sposobem dostaje się do Oranu.

— Ocalony jestem, woła, o Przczysta Dziewico! Dzięki Ci! Tobie oddaę poświęcam odzyskaną przez Ciebie wolność!

Są to słowa ś. Franciszka z Assyżu, jest to ślub pustelnika z Monserratu. Cerwantes podjął z umysłu ideę mistycznego rycerstwa. Bogarodzica sama ocala żołnierza, o którym przepominają bracia w kraju. Wszystko ma wyraźny cel w dramacie: Cerwantes pragnie każdym słowem, każdym obrazem, poruszyć do gruntu serca ówczesnych Hiszpanów.

Nie spuszczać z oczu wad narodowych, wskazuje on szlachcie kastylskiej nowe obowiązki do spełnienia. Zachowała ona wszystkie przesady dawnych czasów: kasty społeczne oddzielone tu od siebie jakby murem; majtkowie, kupcy i szlachta, płynąc na jednym statku, nie łączą się z sobą w obec wspólnego niebezpieczeństwa; przypadkowe nawet braterstwo między synami jednej ziemi staje się niepodobnem. Tu Cerwantes wymierza pierwszy pocisk przeciwko dumie arystokratycznej; nastaje na czczy i fałszywy punkt honoru, który w dziejach Kastylii tak przeważną odgrywa rolę.

Dwaj kupcy maurytańscy występują na scenę: jeden z nich opłynawszy Europę, tylko co powrócił z wyprawy.

— Szczęśliwą odbyłeś podróż, mówi do niego towarzysz. Chodziła jednak wieść, że galary neapolitańskie puściły się za wami w pogoń.

— Tak w rzeczy samój.... ale pogoń Hiszpanów mało znaczy; ich statki przeładowane ciężarem zaledwie się ruszają, a potem miłość własna nie pozwala szlachcie kastylskiej przyłożyć ręki do wiosła, wówczas nawet gdy idzie o życie: byłaby to dla nich wielka hańba: my tymczasem przynosim z wyprawy mniej honoru, lecz za to więcej łupów.

Zaczepić w tych czasach honor hiszpański, to w istocie dowód niesłychanej odwagi. Szumno brzmiący ten wyraz był drogim klejnotem stanu szlacheckiego, hasłem wodzów, podwaliną społeczną arystokratycznej Hiszpanii. Lekko też Cerwantes potrąca tak drażliwy przedmiot i prowadzi rzecz dalej. W inną krótszą jeszcze scenie, dotyka mimochodem innej materii zarówno niebezpiecznej: ośmiela się wspomnieć, że po dwakroć można było wziąć Algier, i że po dwakroć łup wysunął się z rąk Hiszpanom. Don Juan Austriacki byłby go zdobył, gdyby nie to iż król wysłał go do Flandryi: Filip II powinien był wylądować w Afryce 1579 roku.

W pośród hiszpańskich jeńców przebiega gromadka dzieci maurytańskich i woła wyśmiewając się złośliwie:

„Don Juan nie przyjdzie! nikt z was nie uciecze ztąd: pomrzecie tu wszyscy do jednego.

Saawedra występuje i napomina dzieci.

— Brat jego przyjdzie, mówi on, przyjdzie potężny Filip! Byłby tu już, gdyby niesforność i pycha Flamandów, nie ubliżyła koronie.

Cerwantes naciąga trochę rzeczy, ale Filip II który był obecnym na widowisku, spostrzegł z zadowoleniem jaki postrach jego imię rozsiewa w pośród niewiernych. Poeta przedstawia mu Algier drżący i tryumfujący zarazem; Turcy bowiem aż do śmieszności pochlebiali jeńcom hiszpańskim, wówczas gdy się obawiali napadu; przeciwnie zaś gdy czuli się bezpieczni, najsroższe spełniali okrucieństwa.

Smutny ten obraz gwałtów i prześladowań za nadto boleśnie działał na umysły widzów. Główna to wada owego pięknego dramatu. Poważna sztuka *Życie w Algierze*, pełna tragicznych efektów nie podobala się Hiszpanom, dla których wybrzeża Afryki były gorzkim wyrzutem; jakby hańbą rzuconą im w oczy. Zrozumiał Cerwantes że są pewne granice, których przekraczać niewolno; zmienił więc ton i począł pisać tragikomedye.

Dramat *Życie w Algierze* był silną i stanowczą protestacją: kończył się w krwawy sposób. Cerwantes goniąc zawsze za tymże samym celem, umyślił przedstawić sztukę mniej tragiczną; napisał zatem *więzienia guberników algierskich*, tragi-komedyą zakończoną małżeństwem. Dla zadowolenia publiczności, pomieścił w niej obok scen okrutnych, śmieszne i komiczne ustępy; wprowadził nawet na scenę trefnisia (Graeroso), postać ulubioną powszechnie. Karykatury urozmaicają wciąż akcyę dramatyczną. Przedmiot tu nie tak rozległy i obrazy prostsze. Stawiając znów przed oczy Hiszpanom bezkarnie zniewagi jakie im wyrządzano, poeta wykazuje szczególniej handel białymi niewolnikami. Przedstawia po kolei targowiska, na których odbywa się sprzedaż chrześcian, więzienia, gdzie ich niewierni zganiają istnie jak trzodę bydła; brzegi hiszpańskie dokąd korsarze przybywają po łupy. Rzecz rozpoczyna się porwaniem jeńców.

Noc zapadła. Scena przedstawia wybrzeża Katalońskie; w pośród ciemności widać wieś opasaną murem i basztę sterczącą na skale, nad brzegiem morza, z której dzwon zwiastuje zwykle niebezpieczeństwo; wszystko spoczywa w ciszy.

Człowiek nieznajomy zbliża się wilczym krokiem: to Yussuff renegat. Tylko co wylądował z korsarzem Kaurallim; zna on we wsi każdą ścieżkę, każdy kamień: tu się urodził, tu spędził młode lata.

Yussuff do korsarzy. Chodźcie tu... cicho, jeden za drugim... Oto ścieżka... z tej strony góry należy nam się trzymać.

KAURALLI. Strzeż się Yussuff! Lada pomyłkę przypłacisz swoją głową.

YUSSUFF. Bądź spokojny wodzu. Niech drużyna przygotowuje ogień i żelazo.

KAURALLI. Od której strony myślisz przypuścić szturm do wioski?

YUSSUFF. Od góry: rzecz prosta. Tej strony nikt nie strzeże, licząc na jej naturalną obronę. Mówiłem ci już: urodziłem się i wzrosłem na tej ziemi, znam tu wszystkie miedze i manowce, wiem dobrze zkąd uderzyć.

Nagle połyskują płonące główne. Maurowie z głośnym okrzykiem rzucają się na mury i usiłują wzniecić pożar: za murem występuje na scenę starzec nawpół obnażony.

— Na Imię Boskie, co się stało? Maury wylądowali! Zginęliśmy... biada nam! Do broni, do broni! Czaty zasnęły... wszystko spi... O! gdybym mógł ocalić od zguby ukochaną rodzinę.

Biegnie do dzieci zagrożonych pożarem; wtém nadbiega inna postać w starzej wytartej sutannie, postać przestraszona i komiczna: to zakrystyan, czyli *klecha*.

— Turcy tu, woła, bezpieczniej mi w tej baszcie niż w zakrystyi. Serce topnieje mi jak воск, umieram ze strachu; niedopatrzyć świeatełka na wieży... zły to znak! zginęliśmy z kretesem. Co do mnie: jam sługa kościelny a nie żołnierz, łatwiej mi bić w dzwon, niż dobywać szablą z pochwy.

Klecha dzwoni, wieś budzi się z uspienia. Lud przybiega tłumnie do starzej baszty. Turcy rozstawieni przy

drodze wypadają z zasadzek, chwytając po kolei nieszczęśliwych wieśniaków; tymczasem oddział korsarzy plądruje domy i puszcza je z dymem. Starzec ukazuje się niosąc na ręku dwoje zziębłych i płaczących dzieci; Turcy chwytają go i wiążą. Na widok nieprzyjaciół klecha traci głowę, powraca i wpada im w ręce. Kauralli zapędza ku morzu jeńców i branki, korsarze obciążeni łupem przebiegają scenę w różnych kierunkach. Jeden z nich wlecze piękną dziewczynę chrześcijańską imieniem Konstancya: na koniec wszyscy wsiadają na łodzie i odbijają od brzegu.

— Przybywamy tu aby być świadkami ich ucieczki— wołają łucznicy, wbiegając po niewczasie na scenę. Mimo pogroźek kapitana, który przeklina opieszałość swoich, korsarz podnosi kotwicę i płynie ku brzegom Algieru.

Fernando narzeczony Konstancyi szuka tymczasem ukochanej. Głos jego rozlega się po skałach, po ziemi i po morzu. Głucha cisza panuje znów w około. Boleść mąci zmysły nieszczęśliwemu: wdziera się na skałę panującą nad morzem. Zdaleka spostrzega okręt unoszący piękną narzeczoną.

Rozwija żagle, woła, porusza się; już odpłynął. Na próżno ukazuje hasło okupu i zgody; próżno głos wdziera się z piersi mojej. „Konstancyo—o droga Konstancyo! słodka i szlachetna małżonko!”

Fernando wzywa w najtkliwszych słowach tę którą utracił: nikt mu nie odpowiada. Zrozpaczony rzuca się w morze.

Gdy się to dzieje w Katalonii, Cerwantes przenosi scenę do Algieru, przed przybyciem Kaurallego. Zorza, która przyświeca ucieczce korsarza, roztacza pierwszy brzask na brzegi afrykańskie; drzwi więzienia otwierają się na oścież.

— Dalej, chrześciance! do roboty! woła dozorca Baxi. (Za nim idzie niewolnik niosąc w ręku papier i atrament). Wszyscy bez wyłączenia i chorzy i zdrowi, niech co żywo stawiają się na wezwanie! Dalejże, nogi zapas! bo jak pójdę, nauczę was pośpiechu. Wszyscy do roboty, nawet papazy (księża) i kaballerosy. Héj łotry, będzie ja czekał na was?

Jeńcy wychodzą; Baxi wyprawia ich do robót: jednych na galary, drugich do boru, innych na szanice. Znajdzie się

praca dla wszystkich!—mówi niewolnik, który spisuje nazwiska na rejestrze. Gdyby jednak kaballerosy chcieli zapłacić.

Cerwantes zatrzymuje na scenie dwóch szlachetnych Hiszpanów, którzy płacą, uwalniając się tym sposobem od roboty. Smutny to przywilej! rzeźce jeden.

VIBACHO. Co do mnie, kiedy nie pracuję, tём bardziej czuję się znudzony: widok wsi i morza, rozrywa czarną zgryzotę moją.

LOPE. Mnie zaś widok ten zasmuca tём mocniej: spokojniejszy jestem w samotności niż w tłumie.

Przybywa chrześcianin. Głowa jego obwinięta szmatą zakrwawioną: pędzi za nim w trop Zarahoja, postać historyczna, prawdziwy typ grubiaństwa tureckiego.

ZARAHOJA. Alboż ci nie mówiłem psie nikczemny, że za ucieczkę lądem, doczekasz się takiej zapłaty.

I poobcinał uszy niewolnikowi.

CHRZEŚCIANIN. Wolność tak uroczy ma powab!

ZARAHOJA. Niewdzięczniku! alboż nie radziłem ci żebyś uciekał morzem? lecz ty trzymasz się zawsze ziemi.

CHRZEŚCIANIN. Bodajby mnie czempredź przysypała!

ZARAHOJA. Otóż po trzeci raz ten pies niewierny ucieka tędy, a ja zapłaciłem trzydzieści dublonów tym, którzy go wydali.

CHRZEŚCIANIN. Gdybyś i na trzy spusty zarygłował bramy, nie zdołasz mnie powstrzymać. Wściekaj się jak chcesz, obcinaj mi członki; co znaczy obcięta gałązka, jeśli pień wrósł w ziemię korzeniem? Dopóki nie podetniesz mi nóg, nie mnie nie wstrzyma od ucieczki.

DOZORCA. Nie jestże on Hiszpanem?

ZARAHOJA. Rzecz widoczna. Po tak wielkiej odwadze, któżby tego nie odgadł?

I wtrąca niewolnika do więzienia postanawiając sprzedać go Trynitarzom przy pierwszej sposobności.

Wtém daje się słyszeć huk działa, znak że korsarz przybył do portu. Jakoż oznajmniają iż Kauralli wylądował: Bey Algieru wychodzi naprzeciw niego: tłumy pospieszają do przystani.

Scena zmienia się: teatr przedstawia port algierski. Bey Hassan-Pasza, Kadi, dozorca Baxi przybywają otoczeni

licznym orszakiem. Zarahoja pospiesza za nimi kulejąc. Dzwonki pobrzękują, okrzyk radości rozlega się w powietrzu. Z ust do ust przebiega imię Kaurallego. Jeden tylko z obecnych słucha w gniewnym milczeniu tych okrzyków radości. To renegat Hassan: czuje on całą hańbę odstępstwa; pogląda z oburzeniem na Jusuffa renegata bez czci i wiary, „dobrego Maura, i dobrego żołnierza,” jak go powszechnie nazywają.

Niebawem nadchodzi Kauralli, chciałby ucałować nogi Hassana, lecz on nie dopuszcza tego. Bey Algieru przyjmuje w objęcia korsarza; Yussuf dostępuje tegoż zaszczytu. Nowo przybyli chwalą się pozyskanym łupem.—Hiszpania wzbogaciła nas, rzecze Kadi szydycz.

HASSAN. Iluż niewolników?

YUSSUFF. Stu dwudziestu!

HASSAN. Czy są ludzie zręczni do wiosła? czy są i rzemieślnicy?

YUSSUFF. Najmniej zdolny z pomiędzy nich zadowolni cię panie.

KADI. Czy są także i dzieci?

YUSSUFF. Dwoje tylko, ale cudownie piękne, jak się sam za chwilę przekonasz.

KADI. Dzieci hiszpańskie celują urodą.

YUSSUFF. Te piękniejsze od innych: są to krewniacy moi. Hassan słucha ze zgrozą człowieka, który spustoszył rodzinną wieś, i pojmał w niewolę własnych braci. Tymczasem przyprowadzają starca, dwoje dzieci, klechę, a wpośród jeńców Fernanda, którego złowiono w morzu jak rybę. Hassan przygląda się krzepkim Hiszpanom.

HASSAN. A ten, któż on taki?

KAURALLI. Ja nie wiem.

JENIEC. Panie, ja jestem cieślą.

HASSAN *na stronie*. Biedny prostoduszny chrześcianinie! skoro tak, nie cię już nie ocali: rzemieślnik do ostatniego tchu nie zdoła uwolnić się z ich mocy.

Hassan spostrzega klechę.

HASSAN. Ha, to papaz jak widzę.

KLECHA. Ja nie jestem papieżem, ale prostym klechą: ta nędzna odzież całém bogactwem mojem.

KADY. Jak ci imię?

KLECHA! Tristan.

HASSAN. Zkądżeś rodem?

KLECHA. Ta wieś na żadnej nie zapisana mappie. Urodziłem się w Mollorido, wiosce ukrytej w górach starzej Kastylii. (*na stronie*): Ten niewierny pies nudzi mnie. Boże ulituj się nademną!

HASSAN. Jakie twoje rzemiosło?

KLECHA. Jestem dzwonnik, muzyk niebieski... zobaczysz sam.

HAZEN. Stracił głowę, lub też szydzi ze świata.

HASSAN. Grasz pewnie na flecie, albo śpiewasz piosenki?

KLECHA. Jako klecha wydzwaniam każdą godzinę: Bum! Bum! Bum!

HASSAN. Umieszże robić wiosłem?

KLECHA. Nie, panie, brak mi sił, jam kaleka, członki powychodziły mi ze stawów.

KADY. Będziesz więc pasał trzody.

KLECHA. Nie znoszę w zimie chłodu, a skwar letni nabawia mnie choroby.

HASSAN. Istny błazen.

Odtąd klecha pojawia się na scenie bezustanku. Starzec przyprowadzony z wioski oburza się widząc jak ów klecha odziera żydów, jak odgrywa komedią przed Turkami.

KLECHA. Ba! i cóż w tym złego; trzeba czekać poleciwszy się Bogu. Umrzeć, to wielkie głupstwo.

STARZEC. Szerokie masz sumienie. W dnie postne jadasz z mięsem.

KLECHA. To fraszka: jém to co mi pan daje.

STARZEC. Pożałujesz tego bezbożny.

KLECHA. A przecież tu niema teologów.

Klecha pyszni się z pana któremu służy: jest on niewolnikiem janczara.

— Mój pan Mami, to dzielny żołnierz, Turek i człowiek uczciwy; dobry pies co nie szczeka na mnie, i nigdy mnie nie kasa.

Starzec nie odpowiada mu, lecz myślą zwraca się do biędnych dziełek swoich.

STARZEC. O nieba łaskawe! zachowajcie śnieżną białość tych gołąbków, a gdyby kiedyś potęga Mahometa miała pociągnąć je ku sobie, niech wprzód pomrą w dziecięcej niewinności.

Nowa osoba żyd, występuje na scenę.

STARZEC. Zdaje mi się że to żyd.

KLECHA. Znać to z włosów, z obuwia i z niepoczesnej postawy: Turek ma na głowie koronę z podgolonych i gładko przeczesanych włosów; żyd nasuwa kędziory na czoło, Francuz odrzuca je na ucho, a muł hiszpański nosi je na całym ciele. Hej żydzie, chodź tu.

ŻYD. Czego chcesz panie chrześcianin?

KLECHA. Weź tę beczukę na plecy, i ponieś ją do mego pana.

ŻYD. Dziś szabas, nie wolno mi pracować; nie poniosę jej, choćby mi głowę ucięto: jutro gotowem zanieść ze sto beczulek.

Klecha rzuca się na żyda, którego wydzierają mu gwałtem z rąk. Trystan tak jest niezdolny, że żydzi składają się aby go czempredźej wykupić.

KLECHA. I otóż udarowali mnie wolnością! Zrobili to dla bezpieczeństwa swoich dzieci, sukien, sprzętów, słowem całej chudoby. Ja w zamian dałem słowo że im nic nie ukradnę, dopóki nie wrócę do Hiszpanii. Czy dotrzymam słowa? Sam nie wiem.

Tu wchodzi chrześcianin i oznajmia przybycie Trynitarzy, pod przewodnictwem brata Jorga Oliwara, męża wielkiego serca i głowy.

Radość Klechy nie mała. Będzie więc mógł wrócić do kraju chrześciańskiego za izraelskie pieniądze, i dzwonić w piękne hiszpańskie dzwony, i żyć z darów pobożnego ludu.

— Kiedyż zobaczę znów pułki moje pełne pszennych bułeczek, które przynoszą mi wdowy, na podzwonne za dusze nieboszczyków?

Te bufonady wprowadza poeta jako intermedya, aby przerwać myśli zbyt bolesne. Po oddaleniu Klechy, Cerwantes powraca do głównego przedmiotu swego. Cierpienia jeńców hiszpańskich, dzieci i pokutującego odstępcy Hazena, trzy temata które rozwija w dramacie swoim.

Przywodzą do beja zbiegłego niewolnika.

BEY. Kto on jest?

MAUR. To Hiszpan, który ucieka bezustannie: jużto dwudziesty pierwszy raz jak go łapiemy na uczynku.

Wiodą znów przed Hassana nowego więźnia, i oznajmają zbrodnię jego. Ten człowiek zbił tratwę z wiązki chróstu, masztem było mu własne ciało, ręce służyły mu zamiast drągów; z koszuli zrobił żagiel i uciekł. Czegoż on się spodziewał?

CHRZEŚCIANIN. Sądziłem że wiatr gdziekolwiek mnie wyrzuci.

BEY. Tyś zapewne Hiszpan?

CHRZEŚCIANIN. Nie przeczę temu.

BEY. Niczem niepoprawieni.

Daremno walczyć z nimi, mówi Bey do Kadego, który chłostzcze dziecię. W tém dziecku płynie krew hiszpańska. Nie poradysz z niem ani groźbą, ani prośbą, ani obietnicą, ani gniewem. Nie odmieni się nigdy. O znamy to plemie uparte, bezwzględne, zacięte, dzikie, pełne zuchwałości i pychy. Wprzód pomrą, nim się przerobią w muzułmanów!

Cerwantes z upodobaniem wprowadza na scenę drobne działki. W poprzednim dramacie jedno zaparło się wiary: tu zaś dwoje z nich obłóczą w suknie maurytańskie, lecz żadne nie ulega w obec pogroźek. Ojciec widząc je przybrane strojno, powątpiewa o nich w pierwszej chwili.

STARZEC. Czyżby to były moje dzieci? przystrojone istnie jak na weselną ucztę. O biedne dziateczki moje! zkądże wam te wspaniałe szaty? Coście zrobiły z waszą lichą odzieżą, która świadczyła żeście ubogie pacholątka, lecz zarazem owieczki Chrystusowe.

JUAN. Ojcze! niechaj cię ten widok nie smuci... ubiór nie przeszkodzi temu, co serce pragnie spełnić.

I oddaje ojcu krzyżyk, który ukrył przed czujném okiem Turków.

Tu dramat zatrzymuje się, a raczej zamienia w elegią. Jeńcy spotykając się nawzajem, rozmawiają o dalekim swym kraju.

Zostańmy jeszcze chwilę, mówią jedni do drugich, zaśpiewajmy razem piosnkę, którąś ułożył Julio.

Julio, Fernando, Ambrozya, są to młodzi jeńcy hiszpańscy. Pod postacią Ambrozya ukrywa się dziewczyna cudnie piękna, imieniem Katilina.

Julio śpiewa smutną piosenkę wygnańców.

FRANCESKO. Ojcze, niech oni zaśpiewają tę piosnkę, którą matka śpiewała zawsze w wiosce.

STARZEC. I jakież to jój słowa?

Francesko *śpiewa*:

Zakochany marzę, roję,
Kędyż, kędyż moja miła?
Tam się kłonią oczy moje,
Gdzie nieznana pcha je siła.

STARZEC. Jakże w porę piosenka ta przychodzi! Oczy duszy poglądają z tego ohydneho brzegu, ku słodkiej wiosce do której wdychamy, a która nas nie słyszy.

Katilina śpiewa z kolei tkliwą zwrotkę.

JUAN. Cicho, Kadi nachodzi.

Kadi zagniewany rozpedza zgromadzonych i grozi wszystkim chłostą. Postanowił on zjednać prorokowi dziatki hiszpańskie. Francesko szydzi z niego i klęka do modlitwy.

KADI. Co ty robisz?

FRANCESKO. Modlę się.

KADI. Za kogo?

FRANCESKO. Za siebie, bom ja niegodny grzesznik.

KADI. Dobrze. I jakaż to twoja modlitwa?

FRANCESKO. *Ave Maria* i inna jeszcze, której nauczyła mnie matka moja.

KADI. Jaka?

FRANCESKO. Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego.

KADI. Na Allaha! Narażasz twoje życie.

FRANCESKO. I umiem jeszcze akta wiary, nadziei i miłości. Są to dla mnie istne tarcze przeciwko twym niegodnym wymysłom.

Kadi wściekły z gniewu rozkazuje zabić Franceska.

— A więc precz odemnie te szaty, woła mały Francesko zrzucając z siebie maurytańskie suknie. Bez nich łatwiej postawię stopę na mój drodze męczeńskiej.

Dozorcy odprowadzają dzieci. Wkrótce rozchodzi się wieść pomiędzy jeńcami, że Francesko skazany na męki. Chrześcianin przybiega do więzienia i oznajmia jako widział go przywiązanego do słupa, zbrozonego we krwi, napół już umarłego. Stary ojciec słyszy te słowa, i wybiega chcąc pożegnać nieszczęsne dziecko swoje. Widzi je bliżkiem

śmierci. „Zasłona rozsuwa się napół, skrepowany Francesko straszny przedstawia obraz. Biedny cierpi nad siły.

— Odwiążcie mnie, woła konającym głosem, niechaj umrę w pokoju.

— Nie, synku mój, odrzecz ojciec, umieraj jak Chrystus! Idź do nieba, nie tykając stopami ziemi!

I całując syna, zbiera z ust jego tę piękną duszę, która ulata ku Temu, co ją stworzył.

Męczeństwo renegata Hazena mniej okrutne. Nie umiera on przed oczyma widzów, lecz ostatnie sceny w których się ukazuje, przenikają serca do głębi. Człowiek ten Hiszpan rodem, o tyle nienawidzi zdrajcę Yussuffa, o ile kocha Hiszpanią, kolebkę swoją, tę ziemię obiecaną.

— Dusza moja dziwnie zmęczona, mówi do jeńców, gdy patrzę jak ten pies niewierny sprzedaje krew plemienia swego. Żegnam was! zostańcie z Bogiem. Już więcej nie ujrzą was oczy moje. Niech Bóg dobry powróci was do kraju.

VIBAMO. Strzeż się Hazen, pamiętaj o sobie.

HAZEN *przystępując do Yussuffa*. Mocny Boże! ukrzep wolę moją.

YUSSUF. Czego chcesz? mów prędko, nie mam czasu.

HAZEN. Chcę mówić o twój duszy. Zdeptałeś wszelkie prawa, nie rządysz się ani prawem łaski, ani prawem ksiąg świętych. Nie chodzisz do kościoła, ni do meczetu... mniejsza o to; lecz godziź się barbarzyńco, przepomnieć nawet praw natury?

JUSSUF. Na Boga, Hazen, dziwią mnie twoje słowa.

HAZEN. Nie dziwi cię, że sprzedajesz twych krewnych, starców i drobne dziatki, a dziwią cię tak słowa moje!

YUSSUF *patrzy bystro w oczy Hazenowi*. Bez wątpienia tyś chrześcianin!

— Masz słusność—rzecze Hazen.

I przebija Yussuffa.

Tłum zbiega się na krzyk konającego. Renegat wskazuje każdemu zabójcę. Hazen w obec wszystkich wyznaje wiarę ojców, pokutując za obłąd chwilowy.

Kadi rozkazuje wbić go natychmiast na pal.

— Bracia, woła Hazen, podczas gdy go wloką, idę umrzeć śmiercią chrześcianina. Ale zdołamże okupić żywot haniebny i splamiony odstępstwem? Powiedźcie o tém braciom moim w Hiszpanii, jeśli kiedykolwiek ujrzycie ich na oczy.

To pożegnanie rozdziera serca obecnych. Kadi rozkazuje co żywo uciąć mu język aby zmusić go do milczenia. Nie stłumi on jednak głosu Hazena, głos ten pochwycony przez wielkiego poetę rozbrzmi niebawem po całej Hiszpanii.

Poprzestańmy na tych wyjątkach. Cerwantes niezmordowany zapaśnik krzyża, przez ciąg życia całego walczy zacięcie z islamizmem, i na tenże sam temat snuje coraz to nowe obrazy dramatyczne, któremi usiłuje poruszyć obojętne serca współziomków. Była to prawdziwa krucjata!

